Picos de Europa 2014

Marta Czech



„– Szukam kogoś, kto by zechciał wziąć udział w przygodzie, to znaczy w wyprawie, którą właśnie przygotowuję; bardzo trudno kogoś takiego znaleźć. […] Będzie to dla ciebie bardzo zdrowe, a w dodatku prawdopodobnie korzystne, oczywiście jeśli w ogóle wyjdziesz z tego cało. […]
– […] Przygody! To znaczy: nieprzyjemności, zburzony spokój, brak wygód. Nie pojmuję, co się w tym komuś może podobać. […] Przepraszam! Nie życzę sobie przygód, dziękuję ślicznie! Nie dziś. Do widzenia!"



Dzikie Picos na skraju Europy • fot. Adam Leksowski



„Nora" Armanda • fot. Adam Leksowski

Choć część naszych rozmów z potencjalnymi uczestnikami wyprawy wyglądała jak przytoczona wyżej wymiana słów Gandalfa i Bilba rodem z tolkienowskiego ,,Hobbita", koniec końców i nam udało się skompletować skład XXIII wyprawy eksploracyjnej Speleoclubu Wrocław do Picos de Europa w północnej Hiszpanii.

Picos de Europa... Mgliste góry, strome urwiska przeplecione zieleniejącymi polanami, kręte szlaki, mroczne jaskinie... Sceneria niczym z powieści Tolkiena i pewnie Peter Jackson tylko dlatego wybrał Nową Zelandię dla swoich ekranizacji, bo nie miał po prostu okazji zobaczyć dzikiego Picos na skraju Europy.

Zanim udaliśmy się na bazę położoną na Los Barrastrosas (2020 m n.p.m.) czekała nas jeszcze garść sympatycznych chwil w małej pasterskiej chatce zaprzyjaźnionego ze Speleoclubem Armanda. Gabaryty domku śmiało mogłyby wskazywać, iż jest to – jeśli nie ,,hobbicka nora" – to z pewnością legowisko jakiegoś krasnoluda. Chatka ma drzwi sięgające niewiele powyżej pasa, małe zakamuflowane okienka, kafelkową podłogę, nie brakuje tu miejsc na dodatkowe śpiwory, a nawet kapcie, bo Armando bardzo lubi gości. Mimo iż nieczęsto odwiedzana, wcale nie jest to ,,szkaradna, brudna, wilgotna nora, rojąca się od robaków i cuchnąca błotem, ani też sucha, naga […] nora bez stołka, na którym by można usiąść, i bez dobrze zaopatrzonej spiżarni". Podobnie jak nora hobbita, ,,nora" Armanda to – rzec by można – ,,nora z wygodami".

Nie takie jednak ,,nory" są celem naszej wyprawy, ale po kolei…

Wspomniana garść sympatycznych chwil u Armanda to również muzyka. Prawie każdy postarał się o instrument, a gdy zabrzmiały wreszcie melodie wszelakie, można było zapomnieć o wszystkim i wyobraźnią przenieść się jeszcze dalej niż skraj Europy, do którego z Wrocławia zmierzaliśmy niespełna dwa dni. Śpiew ma to do siebie, że budzi w ludziach pragnienie wyruszenia w świat, toteż – zupełnie jak u Bilba zasłuchanego w słowa krasnoludzkiej pieśni (,,Ponad gór omglony szczyt lećmy, zanim wstanie świt…") - i w nas ulatujące z gardeł nieprzypadkowe dźwięki poruszyły żądze, by zbadać głębie jaskiń, szpej u boku nosić zamiast laski…

Nazajutrz wypadało wyruszyć w stronę bazy. Objuczeni bagażami z rozmaitym dobytkiem, sukcesywnie brniemy w górę, by pokonać ponad 1000 m przewyższenia. Do tego, by wyglądać jak tolkienowska kawalkada, brakuje nam tylko kuców, które można by przy okazji obwiesić tobołkami. W połowie drogi jednak, tuż przy schronisku Vegarredonda, napotykamy na cztery rosłe wałachy, spośród których jednego udaje się dosiąść. Poza kilkoma końmi, reszta zachodniego masywu Picos, El Cornión, to wolny wybieg dla beżowych mięsnych krów o łagodnym usposobieniu i poetyckim brzmieniu nazwy rasy Parda alpina.

Tymczasem w oddali, na widnokręgu wzgórza piętrzą się coraz wyżej i wyżej. Czuć już bliskość przygody i niebezpieczeństwa zarazem, czające się ze wszystkich stron. Góry nagle wysuwają się na



◁ **Czuć już bliskość przygody... • fot. Adam Leksowski**



▽ **...widać ich, jak spoglądają z wysoka na odległą bazę, którą opuścili • fot. Adam Leksowski**

spotkanie i zawsze mylnie zdaje się, że od podnóży najbliższej dzieli nas niewiele niezbyt forsownego marszu. Chmury i słońce na przemian czynią masyw Picos raz szarym i ponurym, raz lśniącym bielą ośnieżonych grani…

Główny plan wyprawy to kontynuacja eksploracji najniższych partii Pozu de la Torre Santa Maria, czyli jaskini PE001, w której dotychczasowe prace zakończone zostały na głębokości 883 m. Plany poboczne to kontynuacja eksploracji górnych partii pod blokiem szczytowym Torre Santa Maria, deporęcz jaskini 181 oraz rekonesans w strefie „B".

Jednak niebezpieczne przygody na rubieżach pustkowia mają to do siebie, że nawet najlepsze plany mądrych kierowników wyprawy, jak Adam, i życzliwych przyjaciół przedsięwzięcia, jak „Stahoo", niekiedy zawodzą. Zdawaliśmy sobie sprawę, że mogą się zdarzyć nieprzewidziane rzeczy. Niektórzy z nas nie śmieli spodziewać się, by w tej jaskiniowej przeprawie, wśród nieprzebytych meandrów i studni we wnętrzu wyniosłych gór, udało się uniknąć niespodzianek. I rzeczywiście – nie udało się! „Na tym bowiem, jak wiadomo, polega największe niebezpieczeństwo jaskiń: często nie sposób rozpoznać, jak daleko sięgają w głąb, dokąd prowadzą i co w nich czyha." Ale o tym za chwilę.

W czasie transportów góra-dół (każdy ich zrobił od dwóch do czterech) Mietek i Michał, obok stawianych jeden po drugim namiotów, sprawnie rozbijają bazówkę. Baza na wyprawie to takie miejsce, w którym każdemu jest dobrze – czy kto lubi jeść, czy spać, czy pracować, czy opowiadać różne historie, czy śpiewać, czy rozwiązywać krzyżówki, czy po prostu siedzieć i rozmyślać, czy też wszystko to po trosze łączyć w przyjemną całość. Taki ,,dom Elronda", w którym Bilbo i kompania mogli odpocząć, pokrzepić siły, zreperować ubrania, wygoić sińce, odzyskać humor i otuchę, a przede wszystkim posłuchać dobrych rad. Bazówka na wyprawie jest bardzo ważna – jeśli już stoi, oznacza, że poważne akcje jaskiniowe można rozpoczynać na dobre.

A więc – do dzieła! „Tofik" i Marta szybko trafiają na oznaczoną poprzednimi laty kopczykami kamieni ścieżkę pod otwór PE001. W tym roku śnieg raczył odsłonić zarówno mały, jak i duży otwór jaskini. Już samo poręczowanie ,,zlotówki" odbywa się nie bez niechcianych sensacji. *Ałaaa!!!* Jest pierwszy ranny. „Tofik" dostał po żebrach niemałym kamieniem, który prawdopodobnie wytopił się z mostku śnieżnego nad otworem.

W tym czasie, poniżej wylotu PE001, Adam i Aga sprawdzają drożność wejścia do jaskini 181. Zbychu, „Qń", Tomek, „Ciotka", Mietek, Michał i Gocha zdążyli wyruszyć na tłumny rekonesans po strefie ,,B", zaś Ola i „Mario" – w ramach przygotowań do generalnej akcji jaskiniowej w PE001 – przeciągają kable do Nicoli, za sprawą której będziemy próbowali połączyć się ze ,,śródziemiem".

W międzyczasie, ośmielone najwyraźniej naszą obecnością krowy uporczywie próbują poszerzyć skład osobników na bazie, w wyniku czego – prócz pojedynczych części i tak już skromnej garderoby – tracimy połowę zgromadzonej wody.

W przededniu koronnej jaskiniowej wyprawy, Adam – jak na kierownika przystało – zbiera wszystkich w bazówce, by omówić nasze zamiary, sposoby ich urzeczywistnienia, środki, politykę i taktykę. Wkrótce, nim dzień zaświta, wyruszymy na jedną z najdłuższych akcji – cztery szychty pod ziemią. Chwila to uroczysta. Cel znają wszyscy – Pozu de la Torre Santa Maria, a w niej – mroczna, zawiła czeluść, zwana PE001. Trzeba było przy tym to i owo wyjaśnić. W świetle karbidówek rzucamy więc okiem na dostępne mapy i szkice jaskini, sporządzone przez tych, którzy już w niej byli. Na ile one mogą nam pomóc? To pytanie w myślach zadał sobie prawie każdy. Każdy chciałby też wiedzieć, na jakie naraża się ryzyko, jakie są przewidziane wydatki energii, ile czasu zajmie ta robota i tak dalej. Mówiąc krótko, każdy myślał po prostu: ,,Co ja z tego będę miał? I czy wrócę żywy?".

W takich chwilach na ratunek spieszy zawsze logika poczciwego Gandalfa, którego wymianę myśli z władcą Rivendell warto w tym miejscu przywołać:

„– Więc to jest wasz cel – wejść do wnętrza góry?

– Coś w tym złego?

– Niektórzy powiedzą, że to niezbyt mądre. […] To niebezpieczne, Gandalfie!

– Bezczynność też jest groźna."

O tak – bezczynność jest zdecydowanie najgroźniejsza! Tą myślą pokrzepiona – po uprzednim skrupulatnym przygotowaniu i spakowaniu sprzętu, w piątek 8 sierpnia – rusza w drogę żwawo pierwsza tura podziemnej załogi: Zbychu i „Qń" – pierwsza szychta do działań na przodku, „Tofik", „Mario" i Tomek – ekipa zakładająca drugi biwak oraz Aga, Gocha i „Ciotka" – z transportem tobołków na biwak pierwszy. Wszyscy ruszają w optymistycznych nastrojach, z gotowością na nowe przygody w sercach, a w głowach z jasnym obrazem jaskiniowych korytarzy, które z pewnością doprowadzą ich do dna poniżej 1000 m.

Po ponad godzinie, dzięki zaawansowanym możliwościom obiektywu w aparacie fotograficznym Adama, widać ich, jak spoglądają z wysoka na rozpostartą u swych stóp odległą bazę, którą opuścili. Każdy z nich wie, że – podczas gdy na górze chłód i przenikliwy wiatr dmący wśród skał, a w jaskini zaledwie ok. 2°C – tam daleko, gdzie wszystko wydaje się bardziej błękitne i przymglone, po tej trudnej eskapadzie czeka na niego jego własny namiocik z ciepłym, puchowym śpiworem w środku. To bardzo cenna świadomość!

Tego samego dnia Mietek i Michał działają w jaskini BX19 o roboczej nazwie „Obelix". Jeszcze tylko kilka godzin do wyjścia drugiej tury załogi – Adama i Marty, mających działać na drugiej szychcie – i na bazie zostanie tylko Ola, wyczekująca sygnałów z wnętrza góry.

Tymczasem na powierzchni rozpętały się burza i deszcz. Od około trzech godzin przez bazówkę płynie rzeka, a łączność z PE001 jedynie przez wywołanie. Ola i Adam zostają porażeni prądem podczas próby rozmowy przez Nicolę. Na szczęście są cali, choć powrót do rzeczywistości zajmuje im dłuższą chwilę. W mgnieniu oka baza przestała być sielską ostoją, za której progi nie sięga niebezpieczeństwo. W deszczu przekładamy kable od Nicoli, licząc na poprawę łączności. Wciąż pada. Na usta aż cisną się pretensjonalne pytania w stylu Bilba Bagginsa:

,,– Panie Gandalfie, zrobi pan coś z tą ulewą?

– To tylko deszcz. Będzie padał, dopóki nie przestanie. Jeśli chcesz zmieniać pogodę na świecie, szukaj innego czarodzieja."

O tak – jeśli chcesz zmieniać pogodę na świecie – szukaj sobie innej wyprawy! Tą myślą zmobilizowana, w chimerycznej mżawce, na drugą szychtę wyrusza w drogę kolejna tura podziemnej załogi: Adam i Marta. Towarzyszy im Michał, który zdążył już do tego czasu powrócić wraz z Mietkiem ze strefy ,,B". Jeżeli nas wicher nie zmiecie, deszcz nie zatopi albo piorun nie ustrzeli, na pewno dotrzemy pod otwór. I choć wicher ustał, deszcz przestał padać, a burza zdążyła się znacznie oddalić, na drodze pojawia się nowa trudność. Mgła. Nie potrzeba mieć na palcu czarodziejskiego pierścienia, by stać się całkowicie niewidzialnym dla towarzyszy na odległość zaledwie kilku metrów, a miejscami nawet na wyciągnięcie ręki. I tak, momentalnie „niewidzialnym" staje się dla nas wzgórze Santa Marii, a nadciągający zmierzch nieuchronnie pogarsza perspektywę dotarcia do celu. Czy to już nasza góra? Oczywiście, że nie! To wciąż początek podejścia. Musimy wdrapać się wyżej. Tylko którędy? Bezskutecznie szukamy właściwej drogi, trawersując śliskie i strome lodowe połacie stoku. Jest i drugi ranny. Zlodowaciały śnieg okazuje się za twardy na hamowanie kijkami, które Adam zdążył w trakcie niespodziewanego ślizgu solidnie powyginać. Na szczęście kończy się na obdartym przedramieniu. Ścieżka pod otwór PE001, pnąca się na zmianę ośnieżoną i piargową stromizną wciąż w górę, coraz wyżej i wyżej, potrafi być niebezpieczna. Wkrótce jednak, mimo osnuwającej wszystko wokół

gęstej mgły, udaje się osiągnąć sukces – tzn. obrać właściwą drogę do właściwego otworu. Ufff!

Tymczasem trójce transportujących dziewczyn wędrówka po jaskiniowych studniach i meandrach obrzydła do cna, ale zatrzymać się nie śmiały i szły, szły przed siebie, aż wreszcie ogarnęło je zmęczenie gorsze od najgorszego zmęczenia. Zdawało im się, że będą musiały iść tak do jutra i do pojutrza, i do popojutrza nawet. Nagle, niby zupełnie niespodziewanie, na niespełna 300 m głębokości natrafiają na 20-metrową studnię z wodospadem. To je wreszcie zatrzymuje w miejscu. Szkoda tylko, że po tej stronie „mokrej dwudziestki", od której trzeba ją przemierzyć z powrotem w górę.



Czy to już nasza góra? • fot. Adam Leksowski



Baza na wyprawie to takie miejsce, w którym każdemu jest dobrze – Los Barrastrosas (2020 m n.p.m.)



Tak, tak – baza na wyprawie to takie miejsce... • fot. Adam Leksowski

Po tejże stronie studni z wodospadem, drżące z mokra i zimna dziewczyny mijają po paru godzinach Adam i Marta. Szybka wymiana informacji, przejęcie kluczowego ładunku i druga szychta, nie tracąc czasu, zmierza już haczliwym meandrem w stronę pierwszego biwaku. Każda bowiem akcja jaskiniowa to gra o czas. Za chwilę słychać w meandrze dudniące echem męskie głosy. Czyżby wracała trójka transportowa z drugiego biwaku…? Ale zaraz, zaraz! Za nimi podąża w górę pierwsza szychta – Zbychu i „Qń". Teraz wszystko jasne – wycof! Jaskinia w tym roku jest na tyle zalana wodą, że eksploracja bez narażenia zdrowia i życia wyprawowiczów okazuje się niemożliwa.

W krótkim czasie wszyscy spotykamy się na stosunkowo niewielkiej, a już na pewno za małej dla dziesięciu osób, przestrzeni pomiędzy meandrem a ową nieszczęsną ,,mokrą dwudziestką". Woda w studni zdążyła przybrać na tyle, że wystarczyła myśl o wychodzeniu w 20-metrowym, lodowatym wodospadzie, by tę niewielką przestrzeń, którą zajmowaliśmy, w okamgnieniu uczynić nieplanowanym, prowizorycznym biwakiem. Jeszcze tylko szybka odprawa „Qnia", który odważył się być posłańcem wieści z podziemi na powierzchnię i rozpoczynamy na dobre jaskiniową szkołę przetrwania, w której największą niewiadomą okazuje się być … termin zakończenia edukacji. Zostaliśmy uwięzieni we wnętrzu góry! Noc (tak, była noc, choć w jaskini ciemno jest zawsze) spędzamy niewygodnie, zziębnięci, nie ośmielając się śpiewać ani nawet głośno rozmawiać, jak gdyby jaskinia nie znosiła żadnych zakłóceń, prócz szumu wody w ,,mokrej dwudziestce". Pod niejednym kaskiem kotłują się myśli jak te u pana Bagginsa, gdy wyruszył zdobyć Samotną Górę: ,,Tam, na powierzchni trwa lato, sianokosy i wycieczki na zieloną trawę… A jak tak dalej pójdzie, to nim się stąd wydostaniemy..." Takich zdań lepiej nie kończyć nawet w myślach. Wielu zdążyło już zapomnieć, że jeszcze nie tak dawno wesoło rozmawiali o przeprawie przez PE001 i o szybkim zdobywaniu głębokości w stronę, obiecującego rekord, dna jaskini. Zawinięci zaledwie w dwa śpiwory (na dziewięć osób) i folie NRC (z których z czasem pozostały tylko nędzne strzępy) – pod coraz intensywniej przeciekającym wodą, partyzanckim namiotem – dygoczemy z zimna od stóp do głów. Każdy w swoim rytmie. W takich chwilach – tzn. kiedy nieuchronnie nadciąga wszechogarniający marazm, zwiastun zaraźliwego stanu jaskiniowej depresji – rzeczą najbardziej godną pochwały, ale i zarazem najtrudniejszą, jest bezzwłocznie podźwignąć na duchu ów apatyczny balast osobników, nim wszystkich do reszty ogarnie błoga, śmiertelna obojętność. W tejże ,,roli Atlasa" sprawdził się idealnie sam kierownik wyprawy. Nie było chyba nikogo, kto nie zawdzięczałby Adamowi możliwie wysokiego, jak na istniejące okoliczności, komfortu psychicznego. Mimo iż wodospad w ,,mokrej dwudziestce" malał bardzo nieznacznie, przy odpowiednio podtrzymanym morale grupy, z czasem każdy poczuł się mężniejszy i coraz bardziej gotowy na to, by móc wreszcie z worem udać się pod prąd, ku górze…



Michał w Obelixie (BX19) • fot. Adam Leksowski

I tak – we wnętrzu Santa Marii rozpoczyna się pospolite ruszenie w stronę otworu. Uczestników akcji, przybywających kolejno na bazę, z uśmiechem na ustach i ciepłą strawą w garze wita Ola, nie od parady zwana Kierbaziną (czyt. Kierowniczką bazy). W tym momencie szczególnie i raz jeszcze należałoby zaakcentować, że bazówka na wyprawie to takie miejsce, w którym każdemu jest dobrze…

W kolejnych dniach barowa pogoda nie zwiastuje bezpiecznych akcji na poważnych głębokościach w tym sezonie. W poniedziałek, 11 sierpnia, aura doraźnie sprzyja. Gdyby nie ,,wielka woda" w PE001 – bylibyśmy o tej porze pewnie hen na przodku albo na którymś z biwaków… Ale nic – trzeba brać się za robotę stosowną do panujących warunków.

Momenty słonecznych przebłysków próbują wykorzystać „Qń" i Tomek, udając się do Obelixa (jaskini BX19) z misją ,,strzelecką". Co prawda, żaden z nich nie przypomina goblina, ale z pewnością dogadaliby

się z takowym w kwestii zamiłowania do gwałtownych wybuchów. Co by nie mówić, to dzięki miejscowemu rozsadzaniu skały mamy perspektywy na więcej niż 60 m w głąb jaskini – na tym poziomie zaczynają się znaczne przewężenia ciągu.

Chwile przejrzystego nieba nadają się przede wszystkim do tego, by przeprowadzić próbę dymienia w górnych partiach PE001. Do jaskini zostają wysłani „Mario" – szef „zadymy" oraz „Tofik" i Marta. Reszta w międzyczasie umówiona jest na szczelne oblężenie góry, coby nawet najwątlej ulatujący nad powierzchnię biały dymek nie uszedł niczyjej uwadze. Jak podsumowuje Kierbazina: „Wszyscy czekamy w napięciu, by móc wreszcie powiedzieć: „habemus otwór!". Poczynania wewnątrz Santa Marii jednak nijak statecznego konklawe nie przypominają… Po nieoczekiwanym falstarcie (lont na początek okazał się zbyt długi) w przypowierzchniowym meandrze „Mario" odpala uważnie dwie duże świece dymne, a potem jeszcze kolejne dwie. Tofik zdążył już zasiąść w punkcie obserwacyjnym w pobliżu meandra, a Marta gwizdkiem oznajmić ekipie powierzchniowej początek dymienia. Nikt nie przypuszczał wówczas, że ów ,,dym" wewnątrz jaskini aż tak dosłownie ilustrować będzie nasze wyobrażenia o ziejących ogniem smokach z bajek i legend. A jednak. Puszki świec, rozpalone do czerwoności, wydalają coraz to więcej i więcej mętnych wyziewów o przykrym, duszącym zapachu. Cug, który zeszłego roku okazał się dość mocny, nie nadąża z zabieraniem nagromadzonych oparów. Wkrótce chmura ostrego dymu odcina od wyjścia „Maria", który w pośpiechu gubi kask wraz z karbidówką i zapasowym światłem. Zupełnie jak w jakimś przygodowym fantasy. Wystarczyłoby w zasadzie „Maria" zamienić na Bilba, rozpalone puszki świec na smoka Smauga, Santa Marię na Erebor, w tle rzucić przebój Eda Sherana „Now I see fire inside a mountain" i mamy gotowy klip filmowy do drugiej części ,,Hobbita". …tyle, że na żywo takie sceny kosztują znacznie drożej, niż w kinie. Ta jedna, mimo iż zakończona happy endem – nie licząc zszarganych nerwów – kosztowała Mariusza kask, karbidówkę i czołówkę. Pomimo tak wielu trudów związanych z dymieniem, na powierzchni nie ma nikogo, kto dostrzegłby jakiekolwiek kółeczko dymu – choćby nikłe jak te, które zwykł wypuszczać ze swej fajki Gandalf. Tego dnia Mariusz długo nie mógł zasnąć, a gdy wreszcie zasnął, męczyły go okropne sny.

Reszta wyprawowych dni upływa na działaniach powierzchniowych w strefie ,,B" oraz w Obelixie. Sprawdzane są po kolei otwory BX15, BX17, BX18 i BX19A. Wszystkie kończą się na najdalej 20-stu metrach w głąb skały. Obelix (BX19) ,,po



Działania powierzchniowe w strefie ,,B" (Ola i Marta) • fot. Adam Leksowski

strzelance" „Qnia" i Tomka nieznacznie „puszcza", co daje już jakieś eksploracyjne nadzieje. Czy uzasadnione? Dowiemy się za rok.

Na tym bowiem skończyła się tegoroczna przygoda Speleoclubu Wrocław w ,,Górach Mglistych". Dziś, po tylu barwnych przeżyciach, uczestnicy wyprawy mogą spać wreszcie wygodnie we własnych łóżkach, w swych ciepłych, rodzinnych ,,norkach", przygotowując się równolegle na kolejny jaskiniowy epizod.

Największe odkrycie eksploracyjne wyprawy Picos de Europa 2014? Odpowiedzią niech będzie fragment filmowego dialogu Bilba i Gandalfa:

– Chciałem ci powiedzieć! Ja znalazłem coś w tunelach goblinów!

– Co takiego? Co znalazłeś?

– Bojowego ducha!

Serdeczne podziękowania za pomoc i dofinansowanie: Komisja Taternictwa Jaskiniowego PZA, Sklepy górskie Skalnik, Firma BERG. □

Czas trwania wyprawy:
2–30.09.2014 r.

Uczestnicy wyprawy:
Mieczysław Królewicz (Bobry Żagań), Michał Królewicz (Bobry Żagań), Zbigniew Grzela (Sudecki Klub Wysokogórski)
Aleksandra Szczęsna, Małgorzata Wojtaczka, Agnieszka Majewska, Marta Mielczarek, Marta Czech, Mariusz Robak, Paweł Michalski, Tomasz Kietliński, Arkadiusz Młynarczyk, Adam Leksowski (wszyscy Speleoclub Wrocław)



Uczestnicy wyprawy • fot. Adam Leksowski